

Moja pierwsza audycja

Narodziny „czarodziejskiej skrzynki“

Przed kilkoma laty słyszałem pierwszy wiersz o falach eteru, przed kilkunastu laty pierwszą audycję. Jeszcze wówczas radio było czemś leżącym na pograniczu cudu i... szarlatanstwa.

Kilkunastoletni chłopiec, po wysłuchaniu audycji zasypiał mi kiedyś pytaniami: czy ta „skrzynka z drutami“ naprawdę gra? A może pod stołem schowany jest patefon? A dlaczego wujaszek tak kręci tymi kółkami?

Dzisiaj nawet kilkuletni brzdąk o radio mówi, jak o dobrym znajomym, sypie z rękawa terminami technicznymi, majstruje w czarodziejskiej skrzynce. Patrząc niedawno na takie go właśnie „radiotechnika z Bożej łaski“ zamilowałem zacząłem szukać w myśli wrażeń z pierwszej słyszanej audycji.

Było to...
Dajmy spokój wrażeniom osobistym. Co mówią inni?

Kiedy słyszałem pierwszą audycję radiową i jakie z niej odniosłem wrażenia? — takie pytanie postawiłem kilkunastu osobom. Oto ich odpowiedzi.

Mój dozorca, zdziwił się poważnie postawionym mu pytaniem. Spokojnie odłożył na bok fajkę, z którą właśnie „urzędował“ przed drzwiami dyżurki. Potem spojrzał na mnie tak jakby chciał powiedzieć:

— Dotychczas uważałem pana za porządnego człowieka, a pan nagle takie pytania...

Wreszcie zaczął mówić.
— Pierwszy raz słyszałem radio... u mego syna. Jest nauczycielem pod Urąg — dodał tonem autorytatywnego wypisania.

— A ile to awantur było o to radio?

— Jakto awantur?
— Wiadomo. Chłopak był młody, świata Bożego, powiadam panu, za radiem nie widział. Dziw, że do szkoły na lekcje chodził. Jeden pokój, był u niego tylko dla radia, jakieś skrzynki, druty — kłoby tam wie-

dział co to jest — westchnął Antoni.
A żona to gorzkiemi łzami na niego płakała, kartoflanek jej kazał jeść, pieniędzy na wszystko skąpił, ino radio i radio. Ileż go to kosztowało — jęknął z żalem, stary, rozumiejący w swoisty sposób wartość pieniądza, do zorca.

Pojechałem do niego kiedyś — Antoni rozgadał się na dobre. Siedział w pokoju zamknięty — a nie wiedziałem jeszcze o tym, tym radio. Słyszę gra coś. Pytam syno-
wej.

— Co to Wacek gramofon kupił.
— Tsss — powiada — Niech o-cieć będzie cicho. Słyszal pan — ja miałem być cicho mówi p. Antoni z wyrażeniem wzburzenia. Słucham gra, potem gada.

— Co to jest — pytam — u diabła.

— Tsss — mówi znowu — radio, nie można przeszkadzać.

— Co?

— Radio mówi mi szeptem.

Tak słyszałem pierwszy raz radio — kończy p. Antoni.

Studentka uniwersytetu, którą poprosiłem o wyrażenia na ten temat rzuciła mi potok słów, z których po starannej selekcji zdołałem wyłowić, że pierwszy raz słyszała audycję radiową w roku 1925 mając jedenaście lat.

— Tak mi było tylko żal, że „tam“ może się coś popsuć i że ten pan, który mówi nie będzie nawet wiedzieć, że nikt go nie słyszy. Poza tem przypuszczałem, że tyżki antenowe na dachach są po to, żeby wszyscy wiedzieli, że w tym domu jest radio.

— A wrażenia?

— Byłam strasznie przejęta i... niezadowolona, że „pan“ ze skrzynki technicznej radzi pochować druty instalacyjne.

— Dlaczego?

— No, bo było widać, że jest radio, a z tego byłam strasznie dumna.

Referent w jednym z urzędów państwowych w odpowiedzi na pytanie... westchnął głęboko.

— Raty, szepnął zboliałym głosem.

— Ale ja proszę o wrażenia z pierwszej audycji.

— Nasz radca zaprosił kiedyś kilku „kolegów“ biurowych na radio. Szedłem z zaciekawieniem — wracałem zły. Niech pan sobie wyobrazi — mój rozmówca zapala się — przez cały czas pisało coś, niby grało, gadało — nawet w bridge'a nie można było uczciwie pograć.

— Przekonałem się do radia dopiero później, dziś sam mam radio.

Znów westchnienie. Koniec rozmowy.

Znany adwokat zagadnięty znie-nacka w kuluarach sądu, odparł:

— Pierwszy raz słyszałem radio w r. 1926. Byłem wówczas w małym miasteczku prowincjonalnym. 13 maja zaczęły się znane wypadki warszawskie. Gazety nie przychodziły — jedyną drogą uzyskania wiadomości było radio. — Bur-

mistrz przyjaciel mego ojca zaprosił mnie kiedyś do sanktuarium, w którym zainstalowany był odbiornik.

— Na owe czasy mówi — to rzeczywiście było cudo. Popularność burmistrza — pamiętam — znacznie wzrosła. Nawet jego zagorzali przeciwnicy przychodzili dowiedzieć się coś nowego.

— Służąca moich rodziców z dumą opowiadała, że poznała... służącą od pp. burmistrzów. Ta to szczęśliwa wdychała.

Gospodarz z jednej ze wsi pod Piasecznem mówi, że pierwszy raz usłyszał audycję radiową u siebie w domu.

— Stasiek przyjechał z wojska, z Zegrza — dodaje tonem wyjaśnienia, przywiózł jakieś druty, pudełko, do drzewa przywiązał znowu drut i... grało. Mówili, że to pioruny ściga — ale ja tam w to nie wierzyłem. Grunt, że grało.

„Nadworny“ krawiec w Toruniu przestrząsł się pytania.

— Oj dajmy spokój, niech pan nie pyta.

— Dlaczego?

— Bo ja mam takie nieprzyjemne wspomnienia.

— Nieprzyjemne? — zdziwiłem się ja z kolei.

— Już panu powiem — mruknął przyparty do muru. Do radia nie miałem przekonania, nie chciałem nigdy słuchać. Nudziła mnie żona, „kup radio“, „kup radio“ — słyszałem od rana do wieczora. Kupiłem wreszcie, założyłem. Tego wieczora miałem oddać wykończony garnitur. Przedtem chciałem trochę posłuchać. I zasłuchałem się na dobre. Co było dalej — ech, lepiej nie mówić.

A teraz ja.
Było to w r. 1925. — Zaprosił mnie do siebie mój wuj adwokat w Lublinie. Skrzynia olbrzymia — oczywiście słuchawki. O nic — parę pisków. Czekając z zapiętym oddechem na jedno chociaż słowo.

Nic.
Pierwsza audycja to były piski.

Następnego dnia „złapał się“ do piero jakąś stację niemiecką.

Z. S.

POWSZECHNIE UZNANA ZA NAJLEPSZĄ

STARA ŻYTNIOŲKA

Rektyfikacji Warszawskiej

Rybacy kaszubscy potępiają mord w Luboniu

Zebrani z wszystkich miejscowości mierzwijskiej w Jastarni zorganizowani w Rybackim Związku Rezerwistów uczcili przez powstanie pamięć tragicznie zmarłego kapitana w Luboniu.

postanawiając wysłać na ręce ks. Prymasa Hłonda i ks. biskupa morskowego Okoniewskiego depesze z zapewnieniami i powściągliwością przywiązania i wierności do Kościoła katolickiego. (o).

Mekka się cywilizuje

Święta woda — sterylizowana

Od kilku lat jesteśmy świadkami cywilizowania się najbardziej odległych i ekscentrycznych skupisk ludzkich. Mekka, dotychczas najbardziej strzeżona przed wszel-

kimi, najłżejszymi nawet powiewami nowoczesnymi, zdążyła siedmiomilowymi krokami do wyrównania różnicy, dzielącej ją od innych cywilizowanych środowisk ludzkich. Pielgrzymi, którzy do niedawna jeszcze wyłącznie postęgiwali się tradycyjnymi wielbłądami, coraz częściej obecnie przybywają do świętego miasta maho metan samolotami lub samochodami. Ostatnio w dziedzinie tej uczyniono nowy krok. Jak donosi egipski dziennik urzędowy, święte miasto otrzymało ma oświetlenie elektryczne. Ale nie dość na tym. Woda ze świętego źródła ma być odtąd sterylizowana. Dotychczas pobożni pielgrzymi czerpali słodkawą w smaku wodę wiadrami i pili ją z glinianych kubków. Obecnie otrzymywać ją będą w szklenie zamkniętych butelkach, sterylizowaną, wolną od szkodliwych zarazków, które dawniej były przyczyną częstych epidemii.

Zderzenie statków w Gdyni

(o.). W basenie rybackim portu gdynińskiego szwedzki żaglowiec „Roxy“, który przywiózł do Gdyni z Göteborga sprotę, zderzył się z stojącym u nabrzeża statkiem badawczym Morskogo Instytutu Rybackiego „Ewa“. W następstwie zderzenia zgruchotały zostały żaglowiec „Roxy“ oraz uszkodzona część pokładu i burt. Szwedzki statek, który przystosowany jest do łapania lodów wyszedł z zderzenia cało. „Ewa“ musi być poddana gruntownemu remontowi. Winę za zderzenie ponosi żaglowiec motorowy „Roxy“, który wbrew przepisom podniósł żagle już na wodach basenu, wobec czego silny wiatr zapchnął statek gwałtownie na „Ewę“.

Ryba w oszczędnej kuchni

Oszczędne, a jednocześnie zdrowe i smaczne są potrawy przyrządzane z ryb słodkowodnych. Obecnie znajduje się w handlu wiele rodzajów ryb, wśród których przoduje karp, szczupak, a następnie lin, karaś, sielawę augustowskie i t. p.

W Polsce jemy bezwzględnie za mało ryb w porównaniu z zagranicą. Może jest w tym trochę winy i na-

szych pań gospodyń, które nie chcą zapoznać się bliżej z praktycznymi i tanimi sposobami przyrządzania ryb. Nie mała usługa w tym względzie oddaje krótki zbiorek przepisów, wydany staraniem Związku Organizacji Rybackich. Można go otrzymać bez płatnie w większych handlach kolonialnych i specjalnych sklepach z rybami.

Z teatru o teatrze

Kosmetyczny masaż

TEATR LETNI: „Dama od Maksyma“, farsa ze śpiewami i tańcami w 3-actach Jerzego Feydeau.

Wielkie powodzenie jakim w swoim czasie cieszyła się farsa Feydeau, miało swe źródło zapewne w tym, że wyrażała ona w najłatwiejszej do uchwycenia formie styl i nastój epoki ludzi. Dziś niewątpliwie pod tym względem stanowi „Dama od Maksyma“ zabytek muzealny.

Niemniej jednak ożywienie jej daje efekt niezawodny. Niewybredne dowcipy i efekty zawsze znajdują dosyć amatorów, aby widownia (i kasal) były pełne.

Oglądanie „Damy od Maksyma“ ma takie samo znaczenie, jak np. — moczenie nóg w chłodnej wodzie po długim spacerze w upalny dzień. Można przy tym czytać lekką książkę. Człowiek wypoczywa i jakoś spędza czas, na miłej rozrywce.

„Dama od Maksyma“ działa podobnie jak łagodny kosmetyczny masaż. Nie męczy, nie nuży, nie boli, a nawet niekiedy odmładza.

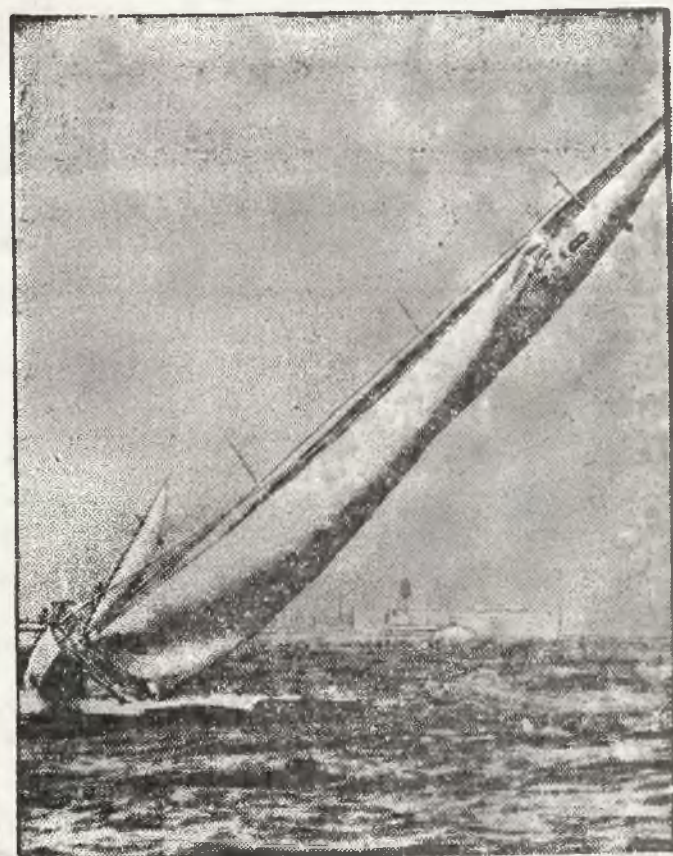
Przedstawienie w teatrze Letnim daje również przyjemną rozrywkę. Jest to zasługa zespołu, który farsie daje nowe życie. Na czele kroczy p. Mira Zimińska świetna wykonawczyni roli Pety Crewette, tancerki z Moulin - Rouge. P. Zimińska jest

dziś niewątpliwie jedyną, która w teatrze może tchnąć tyle życia, temperamentu i bezstroskiego humoru. Największy sukces odnosi dzięki swemu talentowi w piosence o kapeli wojskowej. Ta piosenka jest prawdziwym „gwoździem“ całego wieczoru. P. Maria Gella z pełną wdzięku starannością odzwierciedla postać prężną i naiwną żony, Wł. Grabowskiego, jako rozhuwany generał wojsk kolonialnych, T. Frenkiel — pyszna postać nieszcześnika, który wpłatał się w cudzą aferę — Al. Zabczyński, jak zawsze przystojny i zgrabny amator, panie: Masłowska, Bukojemska, Stubińska, Jakubińska, Magierówna i Ludecka — reprezentujące różne stopnie wdzięku, zdolności i urody, oraz panowie: Karczewski, Norowski, Tomasiński, Zejdowski i inni — na tle sympatycznych dekoracji w barwnych kostiumach St. Jarockiego, pod batutą reżyserską Niewiarowicza, muzyczną — Sygietyńskiego i — choreograficzną Koszutskiego — wypełniając trzy akty niefrasobliwym humorem, śpiewem, tańcami, demonstrowaniem zgrabnych dydek i starodawnych „halek“.

Nic dziwnego, że publiczność dziękje im za to wszystko — oklaskami.

Stanisław Grzelecki.

Na błękitnym Pacyfiku



Piękny 8-metrowy jacht w porcie Los Angeles.

UZASADNIONY GNIEW



— Zabraniam raz na zawsze, aby mnie budzono podczas pracy.

JACEK BRZEZINA

41)

PERŁY I KARABINY

POWIEŚĆ

Wahabici mimo gorączki hazardu nie spuszczały z oka Stanleya. Wiedzieli, co by ich czekało w razie ucieczki więźnia!

A ów właśnie, znudzony przyglądaniem monotonnej jak na zmysły europejskie grze, podczołgał się w głąb namiotu i oparłszy jak mógł najwygodniej plecami o skózaną ścianę, rozpoczął medytację.

Dotychczas jeszcze nie rozwikłał pytania, dlaczego nie zabito go w namiocie szeika. Kłó się w duszy za nieznaną mu języka arabskiego. Gdyby mógł zrozumieć, co ów Karim był powiedział wahabickiego kacyka... Piękną powiedziane, lecz co przez to należy rozumieć? Czyżby synowie pustyni gotowali się do jakiejś wojny? Z ich pożądaniami za wszelką cenę broni tak by wnioskowe należało. Lecz wojny z kim?

Pytania tłoczyły się do głowy Stanleya, nie dając mu spokoju. Złościło go to i męczyło, że nie mógł na żadne z nich znaleźć odpowiedzi.

— I skąd ten tajemniczy Anglik (tego jednego tylko był pewien, że jest Anglikiem) zna jego prawdziwe nazwisko? To już zakazywało na rzecz nadprzyrodzoną... Chociaż... przecież ci, którzy donieśli mu o transporcie, zapewne nie omieszkałi również donieść i nazwiska człowieka, który będzie go przewoził.

— Ehm... — powiedział z głosem — Mam się nad czym zastana-

wiać! Jeżeli stąd nie wydobędę się, to i tak nie potrzebuję odpowiedzi na te pytania. Naprzód trzeba szukać sposobu ucieczki, a potem rozwiązywać zagadki, układające się w niczym rebusy w gazetach.

— Ucieczka! — nie myślał o niej dotychczas, a był przecież najwyższy czas na to.

Z chwilą gdy spodziewana śmierć oddaliła się nieco, instynkt samoobrony rozpoczął od nowa swoją działalność.

— Ucieczka! Gdzie, a raczej naprzód jak? — Nogę i ręce miał skrepowane powrozami. Spróbował ich, lecz już po paru minutach z niechęcią dał spokój wyczerpującej i nie doprowadzającej do niczego pracy.

— Tego sam nie rozwiążę! — mrucał rozglądając się w namiocie. Żadnego przedmiotu w nim nie było. Niczego, co by mogło posłużyć do uwolnienia z więzów.

— Beznadziejne — myślał. — Z pomocą nikt tu mi nie przyjdzie... sam nie dam sobie rady!

Z ponurą rezygnacją spoglądał przez podniesioną zastonę wejścia na monotonnie czyste, martwe niemiło. Szczerze żałował, że nie poległ „na wałach fortu Margaret“.

Miałby chociaż spokój!

Wieczorem dano mu jedzenie. By mógł jeść, zwolniono mu ręce z więzów, lecz dwóch wahabików z gotowymi do strzału karabinami, stało mu nad głową. Miał nawet ochotę rzucić się na nich i wreszcie zakończyć te tortury oczekiwaniami, lecz instynkt przemógł. Jakby nie było uważał, że lepiej jeszcze poczekać. Nie wiadomo, co się stanie...

I rzeczywiście stało się!

Zaczął się od tego, że do namiotu wpadł wepchnięty silnym kopniakiem beduin, który ostatniej nocy usiłował wymknąć się z „fortu Margaret“. Głową miał przewiazaną zbrukaną krwią szmatą, ręce i nogi skrepowane, jak Stanley. Spuchnięta twarz i podbite oczy świadczyły, że niezbyt humanitarnie obchodzono się z nim.

Skurczył się pod ścianą namiotu naprzeciwko Stanleya, przyglądając mu się badawczo przekrwionymi oczyma. Coś niezrozumiałego mrucał pod nosem.

Słońce zaszło. Pustynię ogarnął mrok. Przez otwór w na-

miocie widać było szereg rozpalonych przez wahabików ognia. Dochodziły pomruki obżarających się baraniną ludzi, jakiś gardłowy głos zawodził smętnie sury Koranu. Parskały napojone świeżo wielbłądy, wylądowały w oddali zwabiony odpadkami jedzenia szakal...

Mijały godziny. Obóz powoli zasypiał, ognie prawie że dogasały. Wartownik przechadzał się wolnym krokiem wokół namiotu, co chwila dorzucając do palącego się przy wejściu ogniska nowy płatek nawozu wielbłądźniego.

Dokuczliwe zimno przejmowało ścierpięte od więzów członki Stanleya. Chciał się doczołgać do ognia, lecz powstrzymało go od tego ciche psknięcie współwięźnia, beduina. Spojrzał w stronę siedzącej nieruchomo od paru godzin postaci.

Beduin dawał mu jakieś znaki głową. Przysunął się do niego. Nie rozumiał, co tamten szeptał, lecz jakaś nadzieja wstąpiła mu do serca.

W ciemnościach, panujących wewnątrz namiotu, rozróżniał tylko błyskające oczy syna pustyni. Nagle poczuł, że czyjeś dlonie uwalniają go z więzów. Ruszył z trudnością ścierpiętymi rękoma — był wolny.

Teraz dopiero postrzegł, że beduin też był wolny. To on go oswobodził! Nie miał czasu zastanawiać się nad tym, w jaki sposób to wszystko nastąpiło. Paroma ruchami zrzucił więzy z nóg. Należało jak najszybciej działać...

Beduin podczołgał się w najciemniejszy kąt namiotu i odgłaził wolno jego ścianę. Stanley spojrzął przez otwór. O kilkanaście kroków kłębały wielbłądy. Straż wokół nich nie było widać.

Rozległy się kroki. Długi cień wartownika przesunął się koło otworu w ścianie namiotu. Beduin jednym susem znalazł się na dworze. Gdy Stanley wydostał się za nim, znalazł wartownika rozciągniętego bez życia na ziemi. Wszystko odbyło się tak cicho, że aż uszczypnąć się musiał, by sprawdzić, czy to nie sen.

Lecz nie! Wartownik nie żył. Droga do wolności stała otworem.

(D c n.)